

GUSTAW MORCINEK (1891 – 1963)

Nieporozumienia wokół biografii pisarza.

Wokół biografii Gustawa Morcinka – tak za życia, jak i po jego śmierci – gromadziły się przekłamania, mity i legendy. Niebanalny życiorys i niezwykła droga do literatury sprzyjały takiej sytuacji, a Morcinek sam akceptował, a nawet czynnie wspomagał tę sytuację. Miał bowiem świadomość, że „życie pisarza to widowisko rozgrywane zgodnie ze schematem właściwym literaturze”.

Teoria literatury zakłada, że każda biografia pisarska zawiera sprzeczność, jaka powstaje w wyniku zderzenia się **dokumentarności** i **legendarności**.



Do biografii twórczej Gustawa Morcinka weszło przede wszystkim to, co „znaczyło” coś w jego twórczości: jako temat, symbol itp. Tak więc życie stawało się jeszcze jednym tekstem. Pisarz sam przygotowywał strategię odbioru swych dzieł i celowo zacierał granicę między życiem a literaturą. Krytyk literacki, Stefan Kołaczkowski, ukazanie się **Wyrąbanego chodnika** na przełomie 1931/1932 r., nazwał „uroczystością w literaturze”. Ukazał się w atmosferze oczekiwań związanych z pojawieniem się „dołów społecznych” w literaturze i te oczekiwania wpisywały od razu Morcinka w rolę **górnika pisarza**. Do tej roli musiał mieć górniczy życiorys, i to najlepiej wielopokoleniowy. Wg Kołaczkowskiego pojawił się talent pochodzący ze sfer robotniczo-ludowych, który o swej klasie społecznej wiedział wszystko i nie stracił z nią kontaktu. Dodatkowym atutem było to, że ten niezwykle talent pojawił się w dzielnicy świeżo i krwawo do Polski przywróconej, od lat w polskim życiu kulturalnym nieobecnej, a więc nieznanej i egzotycznej.

Oto niektóre tytuły reportaży ze spotkań z Morcinkiem w różnych dzielnicach międzywojennej Polski: **U pisarza górnika**, **Dzisiejszy Ślązak**, **O niefałszowanym obrazie**

duszy śląskiego górnika czy O Śląsku nieznanym. Morcinek „przybliżył Śląsk do Polski, a Polskę do Śląska” – „wyrąbał Śląskowi drogę do Polski”.

„Czarne dyjamenty”, „prastare Śląsko”, „wyrąbany chodnik do Polski” – to podstawowe elementy tego stereotypu. Pojawiła się specjalna „moda” na Śląsk. Od Poznania i Gdańska aż po Wilno i Lwów odbywały się tzw. „wieczory śląskie”, poświęcone Śląskowi, jego dziejom i ludziom, zawsze tłumnie wypełnione publicznością, których atrakcją był sam pisarz. W ten sposób biografia Morcinka została wpisana w zbiorową biografię dzielnicy śląskiej. Pisarz wzmacniał to i podkreślał, używając zwrotów „my Ślązacy”, „u nas na Śląsku”. Był wiarygodnym nosicielem zalet i cech charakteru zarówno górników, jak i Ślązaków.

Taka sytuacja była korzystna dla powstania legendy biograficznej. Jak zatem ułożyły się poszczególne elementy biografii i biograficznej legendy?

1. Morcinek urodził się 25 VIII 1891 r. w Karwinie, w kolonii górniczej Żabków. Karwina żyła w cieniu kopalni, która określała jej pejzaż, tryb życia i mentalność mieszkańców. Praca górnika była honorem i godnością. Był to zawód niebezpieczny, ale dumny i szlachetny.

Ojciec Morcinka zginął pod kołami wozu, którym przewoził beczki z piwem, gdy jego najmłodszy syn – Augustyn – miał 9 miesięcy. W 2 lata później w kopalni wybuchł wielki pożar, w czasie którego zginęło 292 górników. Jaki trzyletnie dziecko Morcinek mógł zapamiętać tamte tragiczne wydarzenia.

A oto jak realia zostały przekształcone przez legendę: wczesne sieroctwo, ubogie dzieciństwo i cień kopalni – połączyły się w jedno ze śmiercią ojca, która przesunięta została na czas owej katastrofy. Na licznych spotkaniach autorskich, wypytywany przez czytelników, Morcinek dawał zawsze dwuznaczne, wymijające odpowiedzi. Wprawdzie w swej najbardziej autobiograficznej książce **Po kamienistej drodze** przedstawił okoliczności śmierci ojca zgodnie z prawdą, jednak nikt z badaczy ani czytelników nie przyjął tego do wiadomości. Fakt ten bowiem nie przylegał do legendy: **ojciec pisarza – górnika powinien być też górnikiem i zginąć w kopalni, tak pięknie, jak to zostało opisane w „Wyrąbanym chodniku”. To uzasadniało wzrastający kult nieżyjącego ojca.**

2. **Matka** – prosta, niewykształcona kobieta, o dużej wrażliwości i inteligencji, pełna miłości i poświęcenia dla syna, a przy tym dumna i szlachetna. Takie świadectwo o matce Morcinka pozostawiła Zofia Kossak : „Ze wzruszeniem wspominam postać czcigodnej matki Gustawa – pełnej godności i dobroci starej kobiety odzianej po śląsku, mówiącej gwarą, dumnej ze swego syna, nie mogącej tylko pojąć „jak on potrafi tyle nacyganić”. O takiej matce syn pisał w swoich książkach i tą miłością wzruszał czytelników. Był to piękny gest, sam w sobie legendo twórczy, ale i autentyczna prawda: **pełna poświęcenia matka i wdzięczny, kochający syn.**

3. **Szkoła** – po ukończeniu tzw. „biołej” szkoły ludowej, musiał zarabiać – na pańskim, w cegielni, a w wielu 16 – tu lat zjechał do kopalni, tej samej, w której wydarzyła się wielka katastrofa w 1894 r. i gdzie „zginął” jego powieściowy ojciec. Jest to spójne i ciągłe. Górnicy widząc wątłe siły chłopca i jego zamiłowanie do książek – był bibliotekarzem w Stowarzyszeniu Katolickich Robotników „Praca” – ufundowali mu stypendium i wysłali w 1910 r. do Prywatnego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego TSL w Białej Krakowskiej. - To prawdziwe wydarzenie ściśle przylegało do legendy. Uwierzyli w to bez zastrzeżeń

wielbiciele talentu Morcinka i jego przedwojenni krytycy. Wątpliwości pojawiły się po wojnie, a zwłaszcza – o dziwo – po śmierci pisarza. Zaczęto wówczas generalnie wątpić w prawdziwość wszystkiego, co Morcinek o sobie napisał, w tym także górniczego stypendium. Taki gest górniczej solidarności wydawał się mało prawdopodobny. A jednak tak było! Znamy nawet nazwiska górników, którzy zbierali składki. Zajmował się tym Karol Gattnar, maszynista w szybie „Gabriela”, a pomagali mu: górnik Franciszek Kubiczka i blacharz Felicjan Gusowski. Wraz z Morcinkiem wysłano do szkoły dwóch innych młodych górników: Franciszka Waclawczyka i Roberta Stęchłego. Po prostu w Karwinie było ambitne i dobrze zorganizowane środowisko zawodowe. Prawda była tak niezwykła, że tworzyła sama przez się jakby kolejne ogniwo legendy.

4. Małżeństwo – w grudniu 1925 r. Morcinek ożenił się z nauczycielką ze szkoły ludowej w Skoczowie, Zuzanną Lazarówną. Ona była luteranką i pochodziła z zamożnego domu, on wywodził się z biedoty i był katolikiem. Zamieszkali w Skoczowie wraz z matką i siostrą pana młodego. Nie wróżyło to dobrze dla małżonków. W 1927 r. nastąpiła separacja, a w 1929 r. małżeństwo zostało unieważnione z powodu *non consumatum* z winy męża. Tak wyglądają fakty. Wydarzenie obrosło jednak komentarzami, z których najzabawniejszy polega na utożsamieniu pisarza z bohaterem jego powieści **Inżynier Szeruda**. Po ciężkiej depresji, którą pisarz leczył w Miłowodach, sam zaczął używać na określenie zaistniałej sytuacji słowa „rozwód”, co wówczas brzmiało dość intrygująco i niepokojąco. Dokumentów z procesu sądowego, podających faktyczny powód unieważnienia związku, nie zniszczył, nie zatarł prawdy o przyczynie swej tragedii osobistej. Jednak tej prawdy nikt nie szukał – dla legendy lepszy był pisarz „rozwodnik”, skrzywdzony przez kobietę, samotnik szarmancki i czarujący wobec dam.

5. Debiut i wejście do literatury – któremu patronowała Zofia Kossak, mieszkająca wówczas w pobliskich Górkach Wielkich. „Serce za tamą”, „Byli dwaj bracia” (1929 r.) i „Wyrąbany chodnik” (1931/1932) – to były spójne elementy kreujące tę samą rzeczywistość literacką: **przedstawiciel egzotycznego zawodu – górnik i mieszkaniec „nieznanego kraju” – Śląska, wprowadzał ten zawód i tę dzielnicę do polskiej literatury**. Władysław Orkan pisał do Morcinka, że posiada on „i talent i atut w ręce, gdyż [...] jest jedynym pisarzem w Polsce znającym tajemniczy świat kopalni i górnika”. Podobnie, choć nieco obszerniej pisała Zofia Kossak: „Po raz pierwszy w literaturze polskiej pojawił się świat górniczy we własnej postaci, przedstawiony piórem pisarza, który w tym świecie żył i pracował, znał jego ciemne i jasne strony, jego grozę i triumf, codzienny trud i typ człowieka przez warunki kopalniane wytworzony. Dotychczasowa (nieliczna beletrystyka polska opisująca górnictwo – Bukowiecka, Gruszecki, Kaden i in.) zbladła przy *Sercu* jak dekoracja filmowa przy prawdziwym krajobrazie.” Takie przyjęcie zarówno przez pisarzy (potwierdza to korespondencja z P. Hulką-Laskowskim, Z. Kossak, K. Makuszyńskim, M. Wańkowiczem, E. Zegadłowiczem i in.), jak i krytykę (np. S. Kołaczkowski) miały charakter profesjonalny i towarzyski. Artykułom i recenzjom towarzyszyły tłumne odwiedziny w Skoczowie. „Dom w słońcu” przyciągał swą gościnnością i przyjazną aurą. Wchodził w legendę pisarza i stał się jej najbardziej żywotnym elementem. Morcinek został zaakceptowany przez czytelników, stał się od razu pisarzem, także w sensie społecznym. Z tym faktem łączyło się u niego poczucie misji, specyficznej roli jaką miał Śląsk odegrać w polskiej literaturze. To były te składniki biografii, które stanowiły idealny materiał dla legendy, którą wraz z pisarzem współtworzyli krytycy i

jego czytelnicy. Wszystko było spójne, celowo piękne i wiarygodne. I tak pozostało do 1939 r., do czasu aresztowania Morcinka i osadzenia go w obozie koncentracyjnym.

Które elementy jego biografii do 1939 r. nie weszły do legendy?

1. Jego epopeja żołnierska w czasie I wojny światowej, gdy od sierpnia 1914 r. walczył w armii austriackiej, z przerwami aż do 1918 r., tułając się po frontach, a nawet będąc rannym. Wtedy to przeżył własną „noc listopadową”: w nocy z 31 X na 1 XI 1918 r. pełnił służbę radiotelegrafisty w sztabie austriackim w Cieszynie. Przejął wówczas z Krakowa rozkaz brygadiera Roi, aby najstarszy rangą oficer Polak objął dowództwo garnizonu. Ten rozkaz przekazał Morcinek do Domu Narodowego, gdzie zebrani byli polscy spiskowcy. Opanowali oni miejscowy garnizon i podporządkowali go Radzie Narodowej dla Księstwa Cieszyńskiego. Udany zamach był w dużej mierze zasługą refleksu i odwagi Morcinka. Gdyby się nie udał, czekałby go sąd wojenny i kara śmierci. Ppor. Morcinek został potem tzw. oficerem placu z ramienia RNKC w Skoczowie, czynnie działał w czasie przygotowań do plebiscytu, który miał być przeprowadzony na Śląsku Cieszyńskim. Ten ważny i bohaterski fragment życiorysu w świadomości jego czytelników nie pozostawił głębszego śladu. Podobnie jak walka Morcinka na froncie bolszewickim w 1920 r. w okolicach Pułtuska, gdzie mieściła się siedziba Sztabu Generalnego WP. Wtedy pisarz, który zgłosił się jako ochotnik, dorobił się stopnia porucznika. Nic o tym epizodzie nie wiemy, poza wpisami w zachowanych dokumentach wojskowych. Tylko jedno opowiadanie: *Śnieg w słońcu* związane jest ze wspomnianymi przeżyciami. Wojna polsko – bolszewicka była legendą twórczą, ale udział w niej jakby nie przylegał do biografii pisarza – górnika. Lepiej byłoby go widzieć w powstaniach śląskich czy plebiscycie na Śląsku, w których jednak pisarz udziału nie brał.

2. Do legendy nie przylegała też elegancja pisarza, jego sportowe i fotograficzne pasje, liczne wojaże po całym świecie i samochód, który w tamtych czasach był czymś ekskluzywnym.

Legendzie odpowiadało natomiast proletariackie pochodzenie, praca w kopalni i małe, prowincjonalne miasteczko Skoczów. To trwało, obrastało znaczeniami i przyćmiło drugie „skrzydło” życiorysu, któremu nie było dane rozrosnąć się w legendę. Chodzi o pracę nauczycielską pisarza, która była dla niego także „kopalnią” tematów. Podobnie głębokie związki z harcerstwem, ze szkołami instruktorskimi na Buczu w Górkach i w Nierodzimiu. Hierarchia ułożyła się następująco: pisarz – górnik – nauczyciel, choć w życiu było inaczej: tylko 3 lata był górnikiem, a prawie 24 nauczycielem.

Wrzesień 1939 r. otworzył nowy rozdział w życiu Morcinka – pobyt w więzieniach w Cieszynie i Skrochowicach k. Opawy, a potem w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen – Oranienburg i Dachau. Nie skorzystał z możliwości podpisania volkslisty, co byłoby równoznaczne z uwolnieniem z obozu. W liście do siostry Teresy napisał, że nie chce niszczyć marzeń własnej młodości. Powstała samorządnie akcja znajomych i przyjaciół wysyłania mu do obozu paczek pozwoliła pisarzowi na dzielenie się ze współwięźniami, podobnie jak okazją do dokarmiania była praca w kuchni obozowej. Koszmar głodu, zimna, ciężkiej pracy,

nieustannego zagrożenia życia nie zniszczył w nim wiary w Bożą Opatrzność ani woli przetrwania. Wiązało się z tym specjalne zadanie, jakie powierzyła mu konspiracja obozowa – rozpuszczanie wśród więźniów różnych przepowiedni i prorocत्व o rychłym zakończeniu wojny i znakach, które je zwiastują. To budziło wolę przetrwania obozowej udręki. Na książce M. Grabińskiego pt. *Dyplomacja w Dachau* ofiarowanej Morcinkowi przez obozowego kolegę Edwarda Polaka, znajduje się dedykacja: „Temu, który siał wiarę i podtrzymywał na duchu w obozie, koledze Gustawowi Morcinkowi – Edek”.

Ocalałe listy do siostry Teresy ujawniają pokłady dzielności i dobroci, troski o innych, a także wierności wobec własnych ideałów. Odkrywają głębię życia duchowego pisarza, który właśnie w obozie czytał wciąż „*Dzieje dyszy św. Teresy*” i z rozważań nad tekstem czerpał siłę i moc. Twórczość poobozowa, tzw. mistyczna jest psychologiczną i artystyczną konsekwencją tamtych przeżyć. Niestety, okres mistyczny został wydrwiony przez krytykę, a dla samego pisarza, mającego powiązania z Armią Andersa i emigracją, stał się czymś groźnym. W nowej rzeczywistości politycznej było to skażenie ideologiczne w biografii proletariusza. Zapewne to było powodem, że ten piękny, bardzo legendotwórczy okres w biografii Morcinka pokryty został mrokiem niepamięci.

Po powrocie Morcinka do kraju w październiku 1946 r. nastąpiło coś, co można by nazwać „odwróceniem legendy”. Legendę piękną i dobrą zaczęła zastępować legenda ciemna i zła. Dziś – z perspektywy czasu – wyraźnie widać, że złożyły się na nią dwa elementy:

- po wielkim obozowym głodzie Morcinek stał się chorobliwie skąpy,
- był wyjątkowym konformistą i sprawcą przemianowania Katowic na Stalinogród.

Przyjrzyjmy się słuszności tych zarzutów.

1. Skąpstwo – po wojnie Morcinek wychował dwoje dzieci – Małgosię, wnuczkę swej starszej siostry Joanny i Macieja Kuglina, a trzecie – Janinę Brudny, mieszkającą w sąsiedztwie, wykształcił. Zrobił to cicho, bez rozgłosu. W 1954 r. przez kolegę obozowego ks. Kazimierza Michalskiego z Zielonej Góry przekazał tysiąc zł na zakup aparatu słuchowego dla byłego dyrektora Seminarium Nauczycielskiego w Białej, Ignacego Steina. W 1959 r. anonimowo ufundował nagrodę literacką miasta Cieszyna w wysokości 10 tysięcy zł dla prof. Franciszka Popiołka. W Skoczowie – zwłaszcza za życia Teresy Morcinek – prowadzony był dom otwarty, przez który przewijało się mnóstwo gości, którzy byli „karmieni i pojeni”. Tak zapamiętali ten dom ludzie, którzy w nim bywali. Janina Gardzielewska z Torunia w swoim wspomnieniu napisała: „Pamiętam taki dzień, kiedy chałupa skoczowska pękała od gości różnego autoramentu i zainteresowań, a Gustaw Morcinek nagrywał coś dla Radia w swej pracowni. Tereska była tak cudowną gospodynią, tak pełną serca, humoru i dowcipu, że wszyscy goście, choć się przed chwilą poznali, czuli się sobie bliscy.[...] Tereska była cudowna i czuła i bardzo mi jej żał. Dom w Skoczowie był domem, do którego zawsze mogłam przyjechać, nie zapowiedziana, o każdej porze i nie pytano by, co mnie sprowadza”.

A czego sobie skąpił pisarz? Wartburga miał jako druga osoba w województwie, telewizor kupił już w 1958 r. Na wycieczki zagraniczne jeździł często – od NRD po Wyspy Kanaryjskie. Na zdjęciach widać, że jest starannie, elegancko ubrany. Eleganckie prezenty robił Walerii Kuglinowej, gdy zamieszkała jako gospodyni w Skoczowie po śmierci Teresy. Jadł mało, ale

nie ze skąpstwa, tylko dlatego, że był po resekcji żołądka. Lubił jednak dobre jadlo i trunek, dużo palił.

Skąd wzięła się opinia o skąpstwie? Pewnie nie był rozrzutny, jak Ślązacy. Fakty przemawiają za nim, ale opinia ludzka przeciwko niemu. I co najbardziej przykre, że ta opinia wyszła ze Śląska i na nim do tej pory przetrwała.

2. Wyjątkowy konformista – może raczej bardzo dziwny?

Gdy po śmierci Marszałka Piłsudskiego zaproponowano mu napisanie książki o Marszałku i dzieciach odmówił, twierdząc, że ma za mało materiałów i nie posiada wewnętrznej motywacji do podjęcia tego tematu. Jako zwykły nauczyciel szkoły powszechnej w Skoczowie nie obawiał się utraty posady. Nie podpisał volkslisty, choć pobyt w obozie zagrażał życiu. Były to gesty, które wykluczały konformizm.

W pamięci ludzkiej pozostał jednak Stalinogród jako ukoronowanie konformizmu. Sprawa rzuca cień na dobre imię Morcinka, ale można ją odczytać jako jeszcze jeden dokument „hańby domowej” narodu wikłanego w system totalitarny. Jak większość osób w tamtym czasie, Morcinek został do posłowania zmuszony groźbami i szantażem. Z drugiej strony wiązał z tą funkcją pewne nadzieje na wywalczenie czegoś dla Śląska, choć górowała świadomość, że szybko może zostać oskarżony o „ciasny regionalizm i nacjonalizm”. W swoim sumieniu sytuację oceniał prawidłowo. W liście do Władysławy Ostrowskiej z tego okresu napisał: „Największą dla mnie klęską w życiu jest zakłamanie, które mnie otacza jak kolczasty drut w Dachau”. Słowo *osaczenie* dobrze określa sytuację, w jakiej się znalazł – sprawa Stalinogrodu była momentem finalnym tego *osaczenia*.

5 III 1953 r. zmarł Stalin, a 7 III Rada Państwa i Rada Ministrów podjęły uchwałę o przemianowaniu Katowic na Stalinogród. „Trybuna Robotnicza” z 12 III napisała, że z nazwy Stalinogród dumni są wszyscy Polacy, co na tle powszechnie ujawnianych nastrojów bólu i rozpaczki wydawało się prawdopodobne. W przeddzień drugiej sesji Sejmu, wieczorem został Morcinek wezwany telefonicznie do Katowic do władz SD, którego był członkiem. Następnego dnia, 28 IV 1953 r. na posiedzeniu Sejmu złożył wniosek o zatwierdzenie zmiany nazwy Katowic na Stalinogród. Był blady jak ściana, czytał dręt看ym, nieswoim głosem.

Staliność. dnia 10 marca 1953r

W y c i ą g z p r o t o k o łu
=====

... wspólnego posiedzenia Egzekutywy KW PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, odbytego w dniu 7.3.1953r.

Przewodniczył I Sekretarz KW PZPR - tow. Olszewski

Obecni członkowie Egzekutywy KW PZPR:

Tow. Olszewski, Gierak, Lamuzga, Szydłak, Cebo, Gutman, Jurkowski, Galiński, Woźniak, Koszutski /przewodniczący Prez. WRN/

Obecni członkowie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej:

Ob. Ziętek, tow. Lewicka, Maciejczyk, Lasocki, Herok.

Zaproszeni: tow. Suchon - Kier. Wydz. Administracyjnego PW.
" Piotrowski - I Sekr. KD PZPR Katowice - Wechód

Do punktu 1: Propozycja kierownictwa Partii dot. przemianowania miasta Katowic i województwa katowickiego.

P o s t a n o w i o n o:
=====

- 1/ Jednomyślnie podjąć następującą uchwałę:
Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach w imieniu mas pracujących województwa katowickiego zwracają się do Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i do Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z prośbą o nadanie miastu Katowice nazwy Staliność i województwu katowickiemu nazwy województwa stalinośćkiego.

Otrzymuje:

Prezydium WRN
a/a

1. dn. 3354/53/54.

Za zgodność:

Bjelski

Wniosek przyjęto jednomyślnie, burzą oklasków. Po latach prof. Kazimierz Wyka, także poseł, obecny na sesji, zapytywał: *Co miał robić? Co my mogliśmy robić?*

Pisarz wiedział już wówczas, że plami swoje nazwisko. W formie pewnego zabezpieczenia opowiedział już po 1956 r. w Wiedniu Gustawowi Herlingowi – Grudzińskiemu dokładnie o okolicznościach tego przemianowania, co ten po latach lojalnie poświadczył w swoim „Dzienniku pisanym nocą”. Jakże samotny i istotnie osaczony musiał czuć się Morcinek, skoro

nawet w okresie popaździernikowym prawdę o największym dramacie swego życia wołał zabezpieczyć poza granicami kraju.

Emocje wokół Morcinka spowodowały, że nie dostrzeżono bolesnego kontekstu tej sprawy. Dlaczego właśnie Katowice i dlaczego właśnie Śląsk? Czy dlatego, że wiadomo było, że tego miasta nikt nie będzie bronił? Przecież byli jeszcze w Sejmie inni posłowie ze Śląska – Wilhelm Szewczyk i Edmund Osmańczyk. Dlaczego nie przemianowano Łodzi czy Poznania? Czy była to kara i perfidne uruchomienie mechanizmu, który w innych dzielnicach miał wywołać niechęć do Śląska? To drugie się z pewnością udało. Póki nie odpowiemy na te pytania, nie osądzajmy pisarza, którego ktoś w ten sposób próbował zniszczyć. Morcinek nie miał dobrego życiorysu dla PRL-u: pisarz o proletariackim pochodzeniu, powinien być rewolucjonistą związanym z lewicą społeczną. Miał w swoich książkach szerzyć kult Kraju Rad i nienawiść do „wyzyskiwaczy”.

A Morcinek? Głosił hasła solidaryzmu społecznego i filozofię dobroci, był człowiekiem wierzącym, mającym wielu przyjaciół wśród duchowieństwa katolickiego i ewangelickiego, na dodatek powiązanym z emigracją i Armią Andersa. Nie był członkiem partii, nie przystawał do socrealistycznych schematów – trzeba było go zniszczyć i upokorzyć. I tak istotnie zniszczono pięknie wymodelowaną biografię pisarza – górnika, który głosił, że „ludzie są dobrzy”.

Zweryfikujmy jednak legendę Gustawa Morcinka do końca.

- Wszedł do polskiej literatury jako pisarz – górnik i bez względu na koleje losu takim pozostał. Ale czy tylko?

- Pomijana jest znakomita twórczość dla dzieci. Jego książki adresowane do młodego czytelnika to jedne z najpiękniejszych w naszej literaturze lekcji dobroci. Pełne walorów poznawczych, wiedzy o kopalni, ale i o pięknie beskidzkiego krajobrazu, odtwarzającego ze znawstwem psychikę dziecięcą i budującym wartką, interesującą fabułę – zapewniają pisarzowi trwałe miejsce w polskiej literaturze dla dzieci. I jeszcze baśnie. Morcinek był jednym z najlepszych baśniopisarzy w Polsce. To co stworzył w tym gatunku jest doskonałe tak pod względem ideowym, jak i artystycznym. Pełne ekspresji, umiejętnie operujące gwarą, odcieniami znaczeń, nawet wyrafinowane stylistycznie zawierają zarazem głębię filozoficzną, wpisane są w nie prawdy ponadczasowe i uniwersalne.

- Morcinek był dobrym dziennikarzem, sprawnie posługującym się wszystkimi gatunkami dziennikarskimi. Reportaże pisał nie gorsze od Wańkowicza.

- Z tym łączy się literatura krajoznawcza. Opisy śląskich miast, miasteczek i wsi, a także monografie „*Śląsk*” czy „*Ziemia Cieszyńska*”, nasycone pięknymi, malarskimi opisami pejzażu ukazują dodatkowe możliwości pisarskie Morcinka – pejzażysty.

- Jest też tzw. twórczość mistyczna, która nawiązuje do przeżyć obozowych pisarza. Morcinek jako pierwszy męczeństwo ojca Kolbe zrobił tematem swej książki „*Dwie korony*”, planował też książkę o św. Teresie. Wobec surowej krytyki marksistowskiej „*Listów spod morwy*”, „*Listów z mojego Rzymu*” czy „*Zagubionych kluczy*”, Morcinek wycofał się z tej tematyki i podjął ją na nowo po 1956 r. w „*Judaszu z Monte Sicuro*”. Można przypuszczać, że gdyby nie socrealizm, pisarstwo Morcinka poszłoby w całkiem innym kierunku.

Jego najlepsze utwory powstały po 1956 r. Wolny od obowiązków poselskich, w ciszy skoczowskiego domu pisał „*Judasza z Monte Sicuro*”, „*Opowieść o ludziach z pociągu*”, „*Siedem zegarków kopidola Joachima Rybki*”, „*Czarną Julkę*” i trzy tomy baśni. Dobre, ambitne książki, w których znów mówił własnym głosem, wyjątkowym i niepowtarzalnym. Była w tych książkach kopalnia, piękno Beskidu, ludzkie cierpienie i zło przewyżczone przez dobro. I taki był właśnie w polskiej literaturze potrzebny. Spełniały one zarazem twórcze zamierzenia jego pisarstwa, realizowały to, o czym marzył u schyłku życia:

... pragnąlbym tylko jednego: by moje książki splacały mój dług wdzięczności, zaciągnięty u górników, by przybliżały Śląsk do Polski, a Polskę do Śląska i były dobrymi książkami.

Edward Biszorski

GUSTAWA MORCINKA MIASTECZKO NAD RZEKĄ

Kiedy rozpadła się monarchia austriacka miałem 9 lat. Zawierucha I wojny światowej właściwie ziemi cieszyńskiej nie dotknęła. Trochę emocji przeżyłem, kiedy zbliżyła się wojna czesko-polska, front przesunął się aż pod Skoczów.

Ogromny przewrót historyczny dla mnie nic w Skoczowie nie zmienił. Domy się nie poprzekrzywiały, ratusz stał na swoim miejscu, a w nim pozostał komisarz Kuczera, który dla mnie był uosobieniem władzy. Przedtem nazywał się „Oberpolizeikomisar”, obecnie nadkomisarz policji. Widoczna dla mnie władzę wykonywali „policaje” Pieknik, a przede wszystkim Warcęga, który tylko zmienił austriackie czako na polską maciejówkę. Największy rozrabiaka dał się potulnie przez Warcęgę zaprowadzić do aresztu miejskiego. Rozporządzenia władzy miejskiej ogłaszał Warcęga w języku polskim przy werblu na bębnie. Steinberg, który miał na rynku sklep z tytoniem, zmienił szyld. Dotychczas na żółtym tle widniał dwugłowy czarny orzeł z napisem KUK Tabak-Trafik, teraz napis zmieniono na Polski Monopol Tytoniowy i pojawił się biały orzeł na czerwonym tle, który – przyznaję ze wstydem – strasznie mi się nie podobał.

Mówiono nadal po polsku lub według potrzeby po niemiecku. Wiem, że był wielki rwetes o szkołę polską. Mój ojciec zdecydował, że będą kończył szkołę niemiecką, raz żeby nie robić mi mętliku w głowie, a po drugie, żeby się nauczyć dobrze po niemiecku, ponieważ po polsku i tak umiałem. W domu mówiliśmy po polsku, choć rodzice doskonale władali językiem niemieckim. Miejscowi Niemcy i Żydzi, przeważnie kupcy i tak używali języka polskiego ze względu na ludność wiejską, która zawsze mówiła po polsku (gwarą). Myśmy nawet w niemieckiej szkole mówili między sobą gwarą, gdyż był to język potoczny. Po niemiecku mówiły dzieci, które w domu używały tylko tego języka. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek dochodziło do bójek wśród chłopców między jedną a drugą szkołą.

Większe znaczenie miało, kto chodził do kościoła farnego, ewangelickiego na Kępę czy do templi (bożnicy). Panująca pozornie sielanka jednak nie była zjawiskiem stałym i powszechnym. Często dochodziło do spięć i ostrych starć. Na przykład hurtownię tytoniową prowadził Władysław Jamroz. Z restauracji Rosenthala przyszedł do niego kelner Ernest, aby złożyć zamówienie, mówiąc po niemiecku. Jamroz się oburzył, że zamówień po niemiecku nie przyjmuje, gdyż c.k. monarchia już nie istnieje. Doszło do ostrej wymiany zdań, jednak kelner od Rosenthala musiał skapitulować. Znamienne jest, że patriota Jamroz, który nie chciał

rozmawiać w swoim sklepie po niemiecku, używał tego języka w czasie niedzielnych wędrówek po górach ze swoim sąsiadem Niemcem, który z kolei we własnej rodzinie miał spór między dziećmi, z których jedne przekształciły się w patriotów polskich, a drugie pozostały gorliwymi Niemcami.

Takie było oblicze małego miasteczka, do którego w roku 1919 przybył młody nauczyciel Gustaw Morcinek.

W tym czasie Morcinka znałem tylko z widzenia. W roku 1928 wyjechałem do Krakowa na studia. Przez wakacje musiałem zarobkować i do Skoczowa przyjeżdżałem tylko na kilka dni. W czasie jednych wakacji poznałem Morcinka. Gdy byłem nad Wisłą z Ludwikiem Klimkiem, który wówczas studiował na ASP w Krakowie, dosiadł się do nas Morcinek, który znał Klimka. Morcinek mieszkał już wówczas w swoim „Słonecznym Domku” i do Wisły miał kilka kroków. Przychodził z domu już w kąpielówkach i zawsze z ręcznikiem pod pachą. Nad Wisłą wszyscy byli opaleni. Morcinek nie miał ambicji hellenistycznych. Odróżniał się białością skóry i był chuderlawy. Przychodziła także jego siostra Teresa, bo musiała pilnować, aby się Gustlik nie utopił. Teresa była zawsze ubrana i nigdy swego ciała nie odziała w kostium kąpielowy.

Będąc w Krakowie, a później w Warszawie stwierdziłem, że małeńki Skoczów jest szeroko znany w Polsce przez Fabrykę Kapeluszy „Hüchel”, Szkołę Instruktorów Harcerstwa na Buczu, a przede wszystkim przez sławnego pisarza Gustawa Morcinka, z czego byłem ogromnie dumny i nie omieszkalem zaznaczyć, że łączą mnie z Morcinkiem przyjazne stosunki, co oczywiście było przechwałą, ponieważ jeszcze ani razu nie byłem w jego domu.

Jak mi mówiono, przy drodze do Ustronia, naprzeciw domu Morcinka stał kamienny krzyż. Droga w tym miejscu przechodziła przez stromą skarpe. W czasie jednej z wielkich powodzi fale Wisły podmyły skarpe i krzyż runął do wody. Morcinek, za namową swojej matki, kazał krzyż podnieść i ustawić w ogrodzie koło domu.

Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 r. Dopiero w listopadzie wróciłem z kampanii wrześniowej do Skoczowa rozgoryczony i pozbawiony wielu iluzji. W Skoczowie zastałem nowego orła, który trzymał w szponach Hackenkreuz. Poprzednio lojalni skoczowscy Niemcy pokazali swoje prawdziwe oblicze. Znałe są losy Morcinka z tego okresu. Ja przeniosłem się do Ustronia, myśląc naiwnie, że uda mi się przeczekać zło. Jednak orzeł NSDAP okazał się sępem, który swoich ofiar nie spuszcza z oczu. Końcem roku 1942 znalazłem się w straszliwej maszynie żelaza, ognia, rozdartej ziemi i ciała. Jednak ocalałem.

Nazajutrz po wyzwoleniu Skoczowa 2 maja 1945 r. znalazłem się znów w rodzinnym mieście. Morcinek wrócił do Skoczowa jesienią 1946 r. Przywitano go uroczyście na wielkim spotkaniu w sali posiedzeń miejskich. W po brzegi przepełnionej sali opowiadał o swoich przeżyciach w obozie koncentracyjnym i drodze powrotnej do kraju. Po spotkaniu zaprosił kilku znajomych na warzonkę do gospody Franka. Był tam lekarz dentysta Adolf Badura, Józef Klimek z Marylką, swoją późniejszą żoną, Żenek Czyż i kilku innych, których nie pamiętam. Naturalnie także Teresa. Warzonki starczyło dla wszystkich, jednak było jej o wiele za mało.

Morcinek, znany pisarz, odnowił swoje znajomości i kontakty w Polsce. Czasem odwiedzaliśmy go, najczęściej z Józkiem i Marylką, czasem z Badurą. Przeważnie zaciągała nas do siebie Teresa - jego opiekunka, dla której Gustlik był jedynym celem życia. Wydaje mi się, że Teresa czujnie pilnowała, aby go nie omotała jakaś dilerlatka.

Tereska była osobą przemiłą; zawsze wesoła, skora do dowcipkowania, ubrana w niepozorne szare lonty, o wydatnym nosie i zmarszczonej twarzy. Zawsze mi się wydawało, że powinna pykać fajkę. Morcinek poczęstował kieliszkiem, był jednak bardzo wstrzemięźliwy. Inaczej niż Tereska, która mnie czasem zaciągała do kuchni, gdzie częstowała okowitką, upominając, żeby broń Boże o tym Gustlik nie wiedział.

Dzień Morcinka był wypełniony pracą. Oprócz pracy literackiej prowadził obszerną korespondencję, był prezesem Związku Literatów Polskich Oddziału w Katowicach, często wyjeżdżał do Warszawy, szczególnie kiedy został posłem. Poza tym urządzał spotkania autorskie, przyjmował wielu znakomitych ludzi, głównie literatów; organizował spotkania z Janem Brzechwą, Zofią Kossak – Szatkowską i wielu innymi. Przy organizowaniu wielu rocznic bywał zapraszany do komitetu honorowego.

Był zawsze skromny, uprzejmy, pełen życzliwości, spełniał wszystkie te obowiązki, które się na niego zwały. Z tych względów nie naprzykrzaliśmy się Morcinkowi. O ile mi wiadomo, nie miał kontaktów towarzyskich w samym Skoczowie. Nasze spotkania z Klimkiem i innymi odbywały się w innej atmosferze, bardziej zadziornej, pełnej agresywnego humoru. Klimek wyemigrował z całą rodziną do Australii w 1960 r.

Dużo o Morcinku mógłby powiedzieć lekarz dentysta Adolf Badura, bibliofil, znawca literatury polskiej, członek Unii Pisarzy Medyków. Morcinek leczył się u niego, przez co miał z nim wiele osobistych kontaktów. (...)

Morcinek żyty ze Skoczowem, szanowany przez wszystkich, choć wysoko wyrósł znaczeniem poza swoje miasto, nigdy nie obnosił się z dumą, odpowiadał na ukłony z uśmiechem i charakterystycznym ruchem dłoni. Do miasta przychodził po gazety i po listy na pocztę. Towarzyszył mu zawsze ulubiony piesek, jak profesorowi Filutkowi z „Przekroju”. Później przyjeżdżał samochodem, także z pieskiem. Był przyjacielem zwierząt. W domu królował wspaniały syjamski kot.

Morcinek, który jako skromny nauczyciel przyjechał do Skoczowa, stał się sławnym pisarzem. Kiedy otrzymał nagrodę literacką, wybudował dom właśnie w Skoczowie, ponieważ to miasteczko przylgnęło mu do serca. W wielu utworach opisuje Skoczów i splendor jego sławy opromienia to nadwiślańskie miasteczko.

Inne miasto byłoby dumne mając w swoim gronie tak wybitnego człowieka. Inaczej skoczowianie. Jeśli ktoś obecnie zapyta się w Skoczowie o Morcinka, to usłyszy, że to był pisarz, który sprzedawał butelki, woził samochodem pieska i kazał sobie płacić za wieczory autorskie. Przypisują mu jeszcze wiele innych wyimaginowanych bredni i to ludzie ze sfer inteligenckich. Jeden nawet stwierdził, że pisarz sprzedawał puste tubki po paście do zębów, a jak wiadomo nigdy w Polsce tubek nie skupowano. Drugi, że w obecności biednych dzieci karmił pieska ciastkami.

Miedzy Morcinkiem, który wyrósł wysoko ponad Skoczów, a jego mieszkańcami powstała przestrzeń, która początkowo była wypełniona dystansem szacunku, później zmieniła się w obojętność, a w końcu w stosunek wrogi, omal pogardliwy, co nie przynosi chwały miastu, które Morcinek ukochał.

Być może, że kiedyś Tereska wypełniła torbę butelkami i kazała Gustlikowi odnieść do sklepu, co świadczy o gospodarności Tereski i byłoby w innym środowisku uznane za chwalebne. Dla

każdego cywilizowanego człowieka zabieranie pieska do samochodu jest godne przyjaciela zwierząt, bo piesek przecież nie mógł biegać obok jadącego pojazdu.

To, że Morcinek kazał sobie płacić za spotkania autorskie jest rzeczą zupełnie normalną, bo to był jego zawód. A nikt nie opowiada, za ile wieczorów nie wziął pieniędzy. Nikt nie zarzuca innym, że biorą za wykonaną robotę wygórowane nieraz niepomiarne wynagrodzenie, nie mówiąc o kopertach pozostawianych na biurkach lub w kieszeniach białych kitli. Jeśli by Morcinek nie brał wynagrodzeń za wieczory autorskie, nie opędziłby się od nadmiaru propozycji.

Nowo wymyśloną plotką jest karmienie pieska ciastkami w obecności zgłodniałych dzieci. Tylko psychopata może wymyślać i rozpowszechniać takie złośliwe brednie.

Nie będę tu analizował poszerzającego się rozdzwiewu między wielkim Morcinkiem a innymi „małymi”. Kiedyś żalił się przede mną, że jako poseł jest nieustannie indagowany przez ludzi, którzy przekazują mu do załatwienia sprawy tak błahe, jakie może załatwić proboszcz czy Miejska Rada. Na wysłuchiwanie tych żali i żądań musiałby poświęcić dziennie parę godzin. Znacznie później rozmawiałem z wysoko postawioną osobą, która złorzeczyła na Morcinka, że jako poseł nie wysłuchuje spraw ludzi i unika z nimi spotkań. Tłumaczyłem, że Morcinek jest posłem honorowym, a przy tym pisarzem ogromnie zapracowanym, twórczym, ma szerokie kontakty z ludźmi kultury, prowadzi szeroką korespondencję i żeby wszystkiemu podołać, musiałaby doba trwać o wiele dłużej. Morcinek jako poseł może w Warszawie ingerować w sprawach większego znaczenia, a nie, że kura wygrzebała flanka sąsiadce. Mój rozmówca tego nie uznał. Nie dotarło.

Morcinek był posłem. Ktoś nadgorliwy wymyślił przemianować Katowice na Stalinogród. Na ogłoszenie tego wniosku wybrano Morcinka, który był posłem z okręgu katowickiego i członkiem Stronnictwa Demokratycznego (nie partii!!). Wszyscy posłowie jednomyślnie i entuzjastycznie podnieśli ręce. Kiedy zaś potępiono kult Stalina, Katowicom przywrócono dawną nazwę i sprawa poszła w zapomnienie. A w Skoczowie?

O przykrym incydencie opowiadał mi pewien znajomy młodzik. Kiedy Morcinek przyjechał po gazety, postawił samochód przed sklepem Ruchu. Zebrała się grupa wyrostków, która otoczyła samochód i wychodzącego ze sklepu pisarza obrzuciła wyzwiskami, wypominając mu, że to on nazwał Katowice Stalinogrodem. Rzekomo chcieli mu wyrwać samochód. Speszony Morcinek zdołał jednak wsiąść i odjechać. Można sobie wyobrazić, jaki to był dla niego wstrząs.

Zarzucają też Morcinkowi, że nic nie zrobił dla Skoczowa. Pytam się jednak, co miał zrobić dla tego miasta, które okazało mu tyle niezyczliwości, a nawet pogardy. (...)

Życie Morcinka było wypełnione pracą. Bezsporny jest jego wkład do skarbcza kultury polskiej. Natomiast nikły jest jego dorobek materialny. Domek wybudował w okresie międzywojennym za otrzymaną nagrodę. Za Polski Ludowej kupił samochód i odbył kilka wycieczek zagranicznych. W domu miał stare meble, a Tereska nie chodziła w karakulach...

Widocznie dawni skoczowianie mieli mu za złe, że nie pętał się po gospodach, nie wybudował nowej, luksusowo wyposażonej willi i nie zmieniał co kilka lat samochodu.

Boleję nad tym, że Morcinek, człowiek o głębokim sercu i prawego charakteru doznał w swoim mieście tylu upokorzeń i niesławy. Żałować trzeba, że tak bardzo to nasze miasteczko nad rzeką wyjaławiało Gustawa Morcinka.

Janina Brudna

WSPOMNIENIA Z MOJEGO PODWÓRKA

Pierwsze wspomnienia, które pamiętam z mojego życia, sięgają wieku, kiedy miałam cztery lata. Pamiętam brudne podwórko w dole, chałupę, w której mieszkaliśmy z jej właścicielką zwaną wśród sąsiadów „Starą Szotkulą”. Naprzeciw chałupy, na niewielkim wzniesieniu mieszkali sąsiedzi Wiejowie. Naprzeciw Wiejów stała piękna willa z ogrodem zawsze pełnym kwiatów. Od wiosny do jesieni ogród mienił się różnymi kolorami, tworząc jakby dywan, a środkiem, ale i między kwiatami spacerował dostojnie Karuś – biały piesek z czarną łatką za uchem. Było to „królestwo” pisarza Gustawa Morcinka i jego siostry Tereski – sympatycznej, oryginalnej pani w podeszłym wieku. Pani Tereska opowiadając o swoim bracie mówiła „Panoczek”, co też przyjęło się wśród sąsiadów i wszyscy mówili na pisarza „Panoczek”. Natomiast bezpośrednio do Morcinka zwracała się po prostu Gustlik.

Moja znajomość z pisarzem zaczęła się od tego, że kiedy jechał swoim białym autem z nierozłącznym Karusiem, zawsze przystawał i dawał mi cukierki, zadawał dużo pytań, na które mu chętnie odpowiadałam, a moje odpowiedzi, których już dziś nie pamiętam, bardzo go bawiły. Potem zaczęły się przejażdżki samochodem. Pamiętam, jak wsiadałam w samych majtkach, boso, umorusana, ale z dumną miną do samochodu na przejażdżkę. Zresztą w Skoczowie były trzy auta – dwie taksówki panów Kubienia i Pońca, no i trzecie „Panoczka”. Duma moja była więc uzasadniona.

Nie miałam swojego ojca. Zginął na wojnie, gdy miałam dwa miesiące, toteż przyjaźń z „Panoczkiem” zaczęła się szybko zawiązywać. Pani Tereska często wołała mnie na obiady. Słyszając, jak zwraca się do pisarza – Gustlik, też zaczęłam jako czteroletnie dziecko mówić mu po prostu Gustlik. Morcinek widząc, że było nam ciężko w domu (miałam jeszcze cztery starsze siostry), zaczął finansowo pomagać mojej mamie. Robił to w sposób godny tego człowieka. Widząc moje zainteresowanie autem (często coś grzebał przy nim), poprosił mnie o pomoc przy naprawie. Mówił wtedy:

- Chodź Janeczko, będziemy naprawiać auto, bo mnie nie chce słuchać.

- Dlaczego go Gustlik nie zbijesz, jak cię nie chce słuchać? – odpowiadałam.

„Panoczek” tłumaczył mi długo i cierpliwie. Kazał podawać klucze. Oczywiście, nigdy nie podawałam mu tego, co trzeba. Kiedy kończyliśmy naprawę, byłam podobna do kominiarza. Wtedy „Panoczek” mówił:

- No, Janeczko, jak widzisz po twoim wyglądzie, napracowałaś się strasznie. Idź, niech cię mama umyje, a tu masz dwieście złotych (co wtedy było prawie bogactwem) i powiedz mamie, że to zapracowałaś.

Kiedy do Morcinka przyjeżdżali górnicy, Morcinek wołał mnie i taką umorusaną sadzał na kolana mówiąc:

- *To jest moja córka Janeczka.*

I znowu zadawał mi dużo pytań, na które odpowiadałam, a wszyscy się śmiali, nie wiem do dzisiaj z czego. Pamiętam tylko, że nikt nie był w stanie – ani „Panoczek”, ani jego górnicy – przekonać mnie, że sobota to nie szóstek. Jak jest czwartek, piątek, to musi być szóstek, a nie jakaś tam sobota.

Była piękna pogoda. Bawiłam się koło młynki, która płynęła obok nas. A że była to niedziela, byłam w sukience i fartuszu. W pewnym momencie wpadłam do wody, mocząc zupełnie cały ubiór. Wyszłam z młynki, stanęłam na mostku i zaczęłam strasznie szlochać, ponieważ wiedziałam, że czeka mnie lanie od mamy, a muszę się przyznać, że okropnie bałam się bicia. Zajęta zawzięcie szlochaniem prawie spazmatycznym, nawet nie zauważyłam, jak stanął koło mnie samochód i wysiadł „Panoczek”.

- *No, Janka, cóż się stało, że tak płaczesz?*

- *Boję się iść do domu, bo mnie mama strasznie spiere* – odpowiedziałam dalej szlochając.

- *No, Janko, nie starej się, co prawda Tereski nie ma w domu, ale sobie poradzimy sami. Chodź do mnie, zaraz coś zaradzimy.*

Weszliśmy do domu „Panoczka”, który porozbierał mnie i owinał w ręcznik, a sukienkę i fartuszek prasował i suszył pod żelazkiem. Kiedy wszystko było suche, ubrałam się i poszłam do domu. Mama widząc mnie zdumiona pyta:

- *A ty cóż żeś tako wybigłowano i czysto? Jak żech cie przed chwilom widziała, wyglądałaś jak nieboski stworzyni.*

I tak od słowa do słowa musiałam się przyznać. Lanie było tęgie za to, że bawiłam się nad wodą, co było mi zabronione oraz za to, że tak śmiałem robić kłopot i zawracać „Panoczkowi” głowę.

- *Ni mosz za grosz gańby, nie wiym na kogo tyś się, dziolcho, podała?* – skwitowała mama tym stwierdzeniem „lanie”. I tak mijał dzień za dniem zacieśniając moją przyjaźń z „Panoczkiem”.

Kiedy miałam pięć lat, a było to 1 czerwca, czyli Dzień Dziecka, była piękna, słoneczna pogoda. Siedziałam opodal domu, jak zwykle boso, w samych majtkach i jak zwykle umorusana. Trzymałam na palcu biedronkę. Nagle koło mnie wyrósł „Panoczek” mówiąc:

- *Powiedz zakłęcie: „Biedroneczko, biedroneczko, przynieś mi pogodę” i wypuść ją, a zobaczysz, że jutro będzie pogoda.* – Uczyniłam to niezwłocznie, bo bardzo lubiłam gonić koło domu i bardzo lubiłam słońce. – *A teraz* – powiedział „Panoczek” – *chodź ze mną do samochodu, pojedziemy do miasta, dziś Twoje święto.* My dzieci nie wiedziałyśmy wtedy, że mamy takie święto. Może nie wszystkie. Ja nie wiedziałam, ale jak święto to święto, cóż się będę upierać.

- *Pójdę powiedzieć tylko mamie* – powiedziałam.

- *Ale nic się nie bój, Janeczko, zaraz będziemy z powrotem. Mama ani się nie zorientuje, że cię nie ma* – usłyszałam w odpowiedzi.

Wsiadliśmy do auta i pojechaliśmy do miasteczka. Zaparkowaliśmy na rynku. „Panoczek” zaprowadził mnie do sieni, w której był kran z wodą. Wyciągnął chyba trzy chustki i zaczął mnie gruntownie szorować. Po tym zabiegu udaliśmy się do najbliższego sklepu.

- *Niech pani ubierze tę dziewczynkę od głów do stóp* – poprosił grzecznie ekspedientkę „Panoczek”. Pani ekspedientka zabrała mnie do tyłu, do magazynu. Z magazynu wyszłam jak prawdziwa dama. Moja aparycja zmieniła się nie do poznania. Czerwoną sukienkę w białe grochy uzupełniały czerwone lakierki i białe skarpetki z czerwonym paseczkiem u góry. Następnie udaliśmy się na targ, gdzie „Panoczek” uzupełnił mój strój słomkowym kapeluszem z bardzo szerokim rondem oraz kupił mi koszyk z jednym uchem.

- *No, teraz wyglądasz jak Czerwony Kapturek, ale Czerwony Kapturek miał pełny koszyk, a ty masz pusty koszyk.*

- *To nic* – odpowiedziałam – *i tak nie mam babci.* Ale Morcinek zaprowadził mnie do cukierni i tam uzupełniliśmy koszyk czekoladkami i innymi łakociami. Potem otworzył mój cudotwórca drzwiczki samochodu i rzekł bardzo poważnie: - *Niech dama wsiądzie.* Kiedy podjechaliśmy pod dom, Morcinek nonszalancko naciągnął mi kapelusz na oczy i powiedział:

- *Idź i zapukaj do domu, a mama cię na pewno nie pozna.* Usłuchałam rady, zapukałam i kiedy usłyszałam – *proszę* – weszłam do domu, a mama zapytała:

- *Kogo tu dziewczynko szukasz? Chyba się pomyliłaś.* – Kiedy zdjęłam kapelusz, mama aż osłupiała, a ja byłam bardzo zadowolona ze wspólnego żartu z „Panoczkiem”.

Kiedy nadchodziły święta Bożego Narodzenia, w pierwszym dniu świąt, kiedy się budziłam, pod choinką leżał już prezent od Morcinka, który to siostra Tereska przyniosła wcześniej rano, aby uprzedzić moją pobudkę.

Potem zaczęła się szkoła podstawowa. Oczywiście Morcinek interesował się bardzo moimi postępami w nauce, kupował mi bardzo dużo książek. W pierwszej klasie bardzo zachorowałam. Wtedy pojechał późnym wieczorem po lekarza do sanatorium na Buczu w Górkach i przywiózł go na wizytę. Dzięki tej wizycie stanęłam na nogi, a w końcowym etapie dzięki staraniom Morcinka zostałam skierowana do sanatorium do Kudowy Zdroju.

Kontakt z pisarzem utrzymywałam aż do jego śmierci. Pomagał mi bardzo, szczególnie finansowo mojej matce. Kiedy znalazłam się w Szkole Pielęgniarek w Częstochowie, co miesiąc wysyłał mi 500 zł na opłacanie internatu.

Nigdy nie traktowałam go jak kogoś wielkiego, czułam w nim wielkiego przyjaciela. Dlatego też nie dbałam o to, aby mieć jego książki z dedykacją czy chować listy, które dostawałam od niego. Na pamiątkę została mi, nie wiem zresztą jakim cudem, jedna jedyna widokówka, którą wysłał mi, kiedy byłam na obozie harcerskim w Suchej i jeden odcinek przekazu pieniężnego ze szkoły pielęgniarskiej.

Był człowiekiem stale uśmiechniętym i zawsze pełnym humoru. Na jego willi nie wisi tablica: TU ŻYŁ I MIESZKAŁ GUSTAW MORCINEK, ale w moim sercu jest głęboko wyryte:

TU ŻYŁ, MIESZKAŁ I MIESZKA MÓJ UKOCHANY „PANOCZEK”.

ZWIERZĘTA W ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI GUSTAWA MORCINKA

Część przyrody stanowiły zwierzęta. Były one zawsze w domu Gustawa Morcinka: psy, koty, ptaki. Obdarzał je pisarz wierną, serdeczną przyjaźnią, obserwował wnikliwie, starając się zrozumieć jak najlepiej. Uciekał do nich od ludzi. Traktował, te swoje zwierzaki, jak przyjaciół – rzecz by można – po franciszkańsku: rozmawiał z nimi, czytał im fragmenty swych książek, dzielił się radościami i troskami. Wprowadził je także na karty swych książek i listów, opowiadając o nich barwnie, interesująco i wnikliwie. Jedne z najpiękniejszych opisów tych zwierząt znalazły się w listach do torunianki, Janiny Gardzielewskiej.



Pisał o swych czworonożnych przyjaciółach Morcinek zawsze w sposób ciepły, tak jak o kimś bliskim. Opisując ich przygody czy sposób postępowania, wychwytywał wprawdzie momenty humorystyczne, lecz nigdy nie kpiał ze zwierząt, natomiast chętnie przypisywał im cechy ludzkie. Cenił milczący takt zwierząt, ich wierną, bezinteresowną miłość do człowieka, podziwiał – niepokojącą czasem – inteligencję. Zachwycił się ich doskonałą urodą, celowością wszystkiego, co w nich było.

Na kartach listów najserdeczniej opisał dwa psy: Karusia i jego następcę Miśka oraz syjamskie koty: dwie Kasie i Maćka oraz kanarka Felusia. Karuś to był „łajdak pies, włóczęga, powsinoga-drapichrust”. Był to oczywiście kudłaty kundel (Morcinek nigdy nie snobował się na

psy rasowe), inteligentny, wrażliwy na piękno, o wyraźnie zarysowanej osobowości i ogonie podobnym do „brudnej chryzantemy”. Jeden z najwdzięczniejszych opisów Karusia:

„Za to na pociechę kwitną u mnie jabłonie, czereśnie, śliwy, grusze i inne drzewa o pięknych nazwach i o piękniejszym jeszcze kwieciu. Nawet mój kudłaty Karuś zdumiewa się, stanie pod rozkwitniętą jabłonką i gapi się zdumiony.[...]”

Karuś w ogóle spyszniał w niepomiarly sposób, bo uważa, że ogród i jego kwiaty to zasługa jego gorliwości. Codziennie bowiem podbiega do drzewek i podlewa je z niesłychanie poważną miną, podnosząc tylną nóżkę, szczeka na wróble, które mu wymyślają od czupiradła, szczeka na przechodzących ludzi, nawet na zbłąkanego bąka szczerzy swą szczerbatą paszczką i grozi mu, że go zje.”

W opisach Morcinka Karuś wygląda na przywódcę skoczowskiego zwierzynca, utrzymującego dystans wobec reszty zwierząt, za to blisko żyjącego z człowiekiem i odważnie strzegącego

swego pana i jego włości. Karuś zginął, bo nie lubił psów milicyjnych. A w domu Morcinka zawsze musiał być pies, stwarzał on poczucie bezpieczeństwa, swym szczekaniem wypełniał pustkę, mącił dręczącą nieraz ciszę: „Mieszkam na strasznym pustkowiu, gdzie straszy, diabły się zbiegają i harcują na dachu mojej chałupy, i wałą łbami w szybki mojego okna. Nie lękam się, bo Miś siedzi obok mnie i warczy groźnie. Miś to taki poturczeniec udający pekińczyka, a w sumie lis farbowany na rudo z mordką ogromnie zabawną”. Nie był to więc żaden pies obrońca i nie o realnych wrogów tu chodziło, chodziło o jednego, któremu na imię samotność, a do walki z tym starczył mały, kudłaty pekińczyk (często zresztą uwieczniany z pisarzem na fotografiach).

Od samotności, o której pisarz często pisał, były dwie ucieczki – pisanie i zwierzęta. Tak więc pies zapewniał domowi spokój i poczucie bezpieczeństwa, natomiast koty wносиły ciepło i radość. Było ich zawsze w domu Morcinka kilka: angorskich lub syjamskich dorodnych kotów. Przyznawał zresztą w listach wprost, że jest w tych zwierzętach zakochany. Lubiał je obserwować w trakcie zabaw, ich kocich zajęć, a nawet snu. Lubiał pisać, gdy pies pochrapywał uspokajająco pod biurkiem, a kot leżał mu na kolanach. Kotki nazywały się: Kasia, kocur – Maciek. Ich zachowanie opisywał Morcinek zupełnie bajecznie. Gdyby wybrać z listów fragmenty poświęcone zwierzętom, powstałaby z tego uroczą książeczką dla dzieci. Oto pisze: „Kasia to moja syjamska księżniczka, włazi znowu na jabłonkę i obwąchuje każdy kwiatek, który sięga jej różowego noska. Potem kicha!... Ja jej powiadam: na zdrowie Kasiu!... – A ona popatrzy na mnie niebieskimi oczami i miauknie: Dziękuję bardzo pięknie!” A o Maćku pisał tak: „[...] mój prześliczny Maciek z rodu angorskiego, czarny jak diabeł z bursztynowymi oczyma, bity haniebnie przez księżniczkę Kasię, szuka u mnie schronienia, gada coś ze mną po angorsku i wywołuje u gości przekonanie, że podobny trochę do Baby Lucy z czarnym kotem na ramieniu. Wprawdzie Maciek kładzie mi się na kolanach, lecz to na jedno wychodzi.”



Obserwowanie antagonizmów między zwierzętami, ich reakcje na różne sytuacje, a także sposobu przeżywania macierzyństwa, który wzruszał go bardzo, było ulubionym zajęciem pisarza. W czasie tych obserwacji zbierał materiał do swego pisania, głównie do baśni. W jego

twórczości zwierzęta noszą te same imiona, co ich żywe prototypy, a niektóre ich opisy są także jakby żywcem przeniesione z listów. Piszac więc o zwierzętach w powieściach i opowiadaniach, pisał o swoich zwierzętach, uwieczniając na zawsze najwierniejszych przyjaciół swego życia.

Bo gdy dokuczali mu ludzie, gdy zmęczył świat i jego przewrotność, nie pogrążał się w melancholijnej zadumie, tylko zwracał do swych zwierząt i one przywracały mu pogodę. W towarzystwie dzieci i zwierząt szukał leku na swe ludzkie cierpienia. Swe „afekty” – jak to określał – kierował do „ludków w szkołach”, ślepego na jedno oko Misia, „sybaryty” Kajtusia i „srebrnoszarej Kasi – słodkiej przybłądy”.

Ale na psach i kotach nie kończyło się bliskie obcowanie ze zwierzętami. Kochał ptaki, zimą włóczył się po beskidzkich lasach i karmił sikorki łożem, słoniną, wróble chlebem i ziemniakami, a gawrony resztkami obiadu. Wiosną i latem słuchał ich śpiewu, umiejętnie rozróżniając głosy skrzydlatych śpiewaków. Ich trele przyrównywał do stukania srebrnym młoteczkami w srebrne kowadełko. Zwłaszcza wiosną, gdy ptaki obsiadły kwitnące drzewa, wydawało się Morcinkowi, że to śpiewa czereśnia lub jabłoń. Nawet zabawne gdakanie kur wywoływało na jego twarzy uśmiech, zwłaszcza gdy pod ich skrzeczenie podkładał rozmaite intencje.

Gdziekolwiek wyjeżdżał, natychmiast oswajał miejscowe ptactwo. Zlatywała się później na parapet jego okna „kupa proletariatu ptasiego, szary motłoch ptasi, komunardzi krzyczący, złodziejaskowie przemili, pyskacze i łgarze wierutni – szarzy wróbelkowie patrzący chytrze, kiedy coś poleci z mej dłoni do wiewiórki, by jej to skraść sprzed nosa. A trzy gołębie, udające ptasich kułaków lub bankierów z wielkimi brzuchami, gruchały słodko. Przymilają się przechery, bo i one chcą coś wycyganić od pocziwego eremity polanickiego.”

Zwróćmy uwagę, ile miejsca poświęcił Morcinek na charakterystykę zwykłego, szarego wróbla, który na ogół nie pobudzał pisarskiej wyobraźni. Iloma obdarzył go epitetami, jak trafnie scharakteryzował zachowanie, by wreszcie skonstruować go z gołębiem. Czasem trudno uwierzyć, że to tylko list, a nie fragment tekstu powieściowego.

Szczególnie upodobał sobie Morcinek wiewiórkę. To wdzięczne zwierzątko, tak często pojawiające się w jego twórczości dla młodzieży, stanowi zwykle symbol przezwyciężonej dzikości i zdobytego zaufania. Podziwiał je pisarz, ilekroć się z nim zetknął. Zachwyty budziły wdzięczne, baletowe ruchy wiewiórki, ciekawie błyszczące oczka i „prześliczne pas”, którym wpływała na drzewo, czasem znów jej ruchy przypominały mu jakieś szalone bolero. Wiewiórkę mógł obserwować godzinami.

Umiał czerpać pisarz z obcowania ze zwierzętami tyle radości, ile trzeba było, aby rozproszyc codzienne troski, zaś w ich urodzie dostrzegał część piękna całej przyrody, którą umiał się zachwycać o każdej porze roku i w każdym okresie swego życia.

Znakomite portrety zwierząt zabarwione są też serdecznym, ciepłym humorem, bez tego sarkazmu, którego nie szczędził ludziom, przykrywając go tylko z lekka, dla niepoznaki maseczką dobroćliwości.

Na koniec jeszcze fragment z „Siedmiu zegarków kopidoła Joachima Rybki”.

Rybka nie boi się mieszkać na cmentarzu sam, mieszka bowiem z psem Misiem, „udającym pekińczyka” i kotką syjamską Kasią o niebieskich oczach. Przy swoich zwierzętach nie czuje

się samotny, podobnie jak nie czuł się przy nich Morcinek. One wypełniają lepiej niż ludzie pustkę w jego domu. Grabarz chce, żeby to one towarzyszyły jego ostatnim chwilom i śmierci.

„Nawet nie wiem, kto mi zamknie oczy, gdy skonam. Wiem tylko, że mój kudłaty, farbowany lis, udający pekińczyka, Miś, położy się obok mnie i zacznie mnie lizać po twarzy. I wiem, że moja syjamska księżniczka Kasia ułoży się w puszysty kłębek i zacznie mruczeć.”

